

Czy powinniśmy popierać starania osób, które bez wizji, doświadczenia i personalnych uwarunkowań, odhaczając kolejne punkty na liście warunków koniecznych do spełnienia w tym „wyścigu szczurów”, dążą do przedwczesnego awansu?

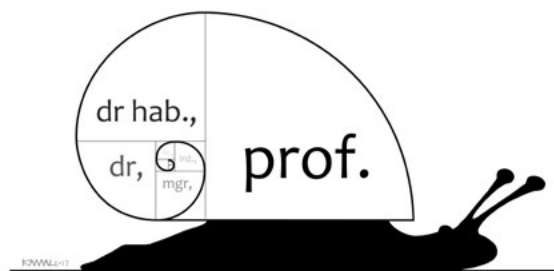
## Patologiczny system czy utrata etosu?

*A ty nie robisz habilitacji? Słuchaj, Kaśka właśnie zrobiła. Wiesz, do tej pory była takim doktorem do wszystkiego, nikt się z nią nie liczył, a teraz mówią do niej pani profesor! Zupełnie inna bajka, mówię ci.* Rozmowy o takiej mniej więcej treści byłem mimowolnym świadkiem dwa lata temu przy okazji przerwy na kawę podczas szkolenia realizowanego przez NCBR. Na pierwszy rzut oka (czy ucha) brzmi to niczym scena z kabaretu albo filmu Stanisława Barei. Niestety okazuje się, że sceny takie odgrywane są prawdopodobnie przy niejednej kawie, na niejednym szkoleniu, a scenariusz do nich pisze samo życie. W pierwszej emocjonalnej reakcji jako przyczynę takiego stanu rzeczy łatwo zidentyfikować niedoskonały i krytykowany system awansowy w polskiej nauce. Należałoby się jednak zastanowić czy pochodzenia tego zjawiska nie upatrywać w specyficznym (spowodowanym przez różne czynniki) rozumieniu ogólnie pojętej nauki i pracy naukowej przez część naszego społeczeństwa oraz procesach, które w nim zaszły w ostatnich latach lub też w połączeniu niedoskonałości systemu oraz niedojrzałości społeczeństwa.

Od dłuższego czasu staram się śledzić dyskusję publiczną na temat ogólnie pojętej jakości kształcenia, poziomu naukowego, oceny jednostek naukowych oraz nauczycieli akademickich. Z racji wybranej w życiu profesji bliskie są mi też problemy związane z postępowaniami awansowymi na kolejne stopnie naukowe. Ponieważ ilość myśli zgromadzonych w mojej głowie osiągnęła już masę krytyczną, postanowiłem zaryzykować i podzielić się niektórymi przemyśleniami ze swojego doktorskiego punktu widzenia. Nie ukrywam, że katalizatorem do działania był artykuł (FA 1/2017) Wojciecha Przetakiewicza, wieloletniego i doświadczonego członka CK, który naświetlił problem obniżających się wymagań i standardów, jakich spełnienie jest niezbędne do uzyskania stopnia doktora habilitowanego.

### Wykształcenie wyższe to podstawa

Jestem z pokolenia, które pamięta jeszcze kolejki w sklepach po podstawowe produkty żywnościowe, ale cała moja podstawowa edukacja odbyła się już w całkowicie wolnej, niezależnej i współczesnej Polsce, w latach 90. XX w. i okolicach „milenium”, gdy część osób nie wierzyła lub nie zauważała jeszcze do końca, że poprzedni ustrój minął, a druga część zauważała to aż nadto, realizując scenariusz od pucybuta do milionera i bez wykształcenia, wiedzy, a tylko z odwagą i odrobiną szczęścia dorabiała



się wielkich majątków. Był to czas, kiedy niektórzy ludzie zaczęli wierzyć w to, że nie opłaca się być wyuczonym, profesjonalnym hydraulikiem, murarzem, tokarzem, stolarzem, gdyż wszystko, co człowiek ma osiągnąć, zależy tylko od własnej przedsiębiorczości. Zaczęły się pojawiać prywatne szkoły wyższe, które miały zapewnić łatwiejszy dostęp do wykształcenia, do tej pory elitarnego (mój tata w książce telefonicznej miał przed nazwiskiem wyraźnie zaznaczone „inż.”), które z kolei miało się przełożyć na lepsze zarobki i świetlaną przyszłość. Do takich szkół, choć nie miały one najlepszej renomy, mógł się zapisać każdy, kto miał nieco gotówki oraz zdaną maturę. To było coś, co pozwalało na awans społeczny tym, którzy mieli pieniądze, ale pragnęli prestiżu lub też potrzebowali odpowiedniego „papierka”, aby zostać namaszczonym dyrektorem w spółce skarbu państwa czy jakiejś innej instytucji. Tak, hydraulikiem, fryzjerem, stolarzem nie opłacało się zostawać, bo prosty robotnik u prywatniarza zarabiał grosze, a nie każdy miał odwagę sam zostać prywatniarzem.

Zdecydowanie nie opłacało się też zostawać nauczycielem. Skandalicznie niskie pensje nauczycielskie (o których dopiero od kilku lat zapomnieliśmy) spowodowały wystąpienie zjawiska naturalnej selekcji, oczywiście negatywnej. Jak dziś pamiętam moich kolegów ze szkoły podstawowej oraz z liceum, którzy za słabi byli na porządne studia politechniczne lub medyczne, a lądowali witanii z otwartymi ramionami w świecącej pustkami ówczesnej Wyższej Szkole Pedagogicznej (potem Akademii, a obecnie jest to już Uniwersytet). Kolega, który nie przeczytał żadnej lektury (a tylko streszczenia), został polonistą, koleżanka z mizerną trójką z matury – matematyką, inna koleżanka, która zawsze miała problemy z chemią, uczy teraz przyrody. Zawód jak zawód, ktoś powie, tak ich rzuciło życie, ale czy na pewno to tylko zawód? Pamiętajmy przecież, że ludzie (oczywiście nie wszyscy, zapewne tylko niewielka część!), którzy nigdy

nie mieli w sobie pasji związanej z nauczaniem przedmiotem, a być może nigdy nawet nie posiadli wiedzy fachowej, mieli wychowywać i kształcić następne pokolenia. Jak można przekazać pasję i wiedzę, jeśli samemu się jej nie posiada? Sytuację mógł tylko nieznacznie polepszyć lub pogorszyć mitologizowany system szkolnictwa i podstawy programowe, gdyż to właśnie umiejętność zarznięcia chęcią do nauki i studiowania świata powinna być podstawą działalności nauczyciela.

Ciągle obniżane wymogi wobec uczniów (zobrazowane może z przesadą doskonałym, krążącym w Internecie, dowcipem o lekcji matematyki i drwalu) skutkowały obniżającym się poziomem absolwentów liceów ogólnokształcących (w międzyczasie wszyscy sami sobie wmówili, że szkoły zawodowe i technika są czymś gorszym). Naturalnym celem absolwenta liceum ogólnokształcącego jest podjęcie studiów, gdyż jak wiadomo absolwent taki nie ma żadnej wiedzy praktycznej ani uprawnień zawodowych. Niski poziom wiedzy absolwentów LO przełożył się na niski poziom przygotowania do podjęcia studiów. Nikt nie powie, że pomimo słabego „narybku” uczelnie trzymają poziom z dawnych lat. Pomimo mojego, może niewielkiego, bo raptem 10-letniego doświadczenia dydaktycznego, widzę, że sam musiałem obniżyć wymagania, nie z powodu lenistwa studentów, a po prostu z fizycznej niezdolności przyswojenia przez bardzo znaczną ich większość podstawowych, wydawałoby się, zagadnień.

### Magister to za mało

W społeczeństwie zawsze istnieje grupa wyróżniająca się pod jakimś względem: majątku, urody, wzrostu, wykształcenia. Jest też część osób, która ma ambicję i potencjał, aby do tej grupy równać, a w dalszej kolejności z tej grupy się wybić. Oczywiście zatem kontynuacją procesu, który spowodował, że duża część społeczeństwa (często niezadowolone) otrzymała (czy też osiągnęła) wyższe wykształcenie i tytuł zawodowy magistra, stała się chęć dążenia niektórych jednostek do stopni naukowych, choćby z takiego powodu, że czuli się (pewnie często zasłużenie) mądrzejsi od przeciętnego absolwenta szkoły wyższej. Przesycenie społeczeństwa magistrami, z jednoczesną koniecznością ujednolicenia naszego systemu edukacji z systemem zachodnim, skutkowało wielką liczbą powołań naukowych, wzmocnioną w późniejszym okresie jeszcze dodatkowo coraz ciekawszą ofertą stypendialną.

Skoro pojawiły się studia III stopnia, to dlaczego absolwent studiów II stopnia miałby z nich nie skorzystać? Skoro był na tyle dobry, żeby skończyć drugi stopień, to trzeci wydaje się być już formalnością. Nagle się okazało, że przeciętniaki lub nawet miernoty w liceum (znam osobiście kilka takich przypadków) postanowiły zapisać się na studia III stopnia, bo przecież ustawa na to zezwala. O zacięciu naukowym, pasji, chęci odkrywania świata nie musiało być mowy – ustawodawca nie przewidział

takiego wymogu, a nawet gdyby przewidział, to jak zmierzyć wartość takiego parametru? I znowu staliśmy się świadkami selekcji negatywnej. Spośród tych, którym udało się skończyć studia, do stopnia doktora aspirują często obecnie nie najlepsi, a paradoksalnie kandydaci bardzo słabi, którzy nie posiadli żadnych praktycznych umiejętności przydatnych potencjalnym pracodawcom lub ci, którzy potrzebują sami przed sobą lub przed rodziną i znajomymi pokazać, że są lepsi od innych, czyli uzyskaniem stopnia naukowego chcą wyleczyć swoje kompleksy. Odbywa się to poprzez realizowanie studiów doktoranckich, na których przedmioty często dobrane są w sposób zależący od możliwości kadrowych jednostki, a otrzymanie przez studenta oceny innej niż bardzo dobry szkodzi jego godności, bo przecież on jest doktorantem, a nie byle studentem, więc z założenia jest mądry.

Temat wymuszonej systemowo pracy doktorskiej przeważnie pochodzi od promotora, bo przecież nie należy wymagać od uczestnika studiów III stopnia zbytek wysiłku czy też inicjatywy w wygenerowaniu jakiegos ciekawego problemu naukowego na czasie. Badania są prowadzone tak, aby doktorant zdążył się obronić w terminie, czyli najlepiej na zakończenie czwartego roku, inaczej ewidentnie sugeruje to porażkę dydaktyczną promotora. Gdy rozprawa doktorska jeszcze pachnie farbą drukarską, dumny i błady młody doktor zaczyna zdawać sobie sprawę, że tak naprawdę zmarnował cztery lata, bo ani nic nie odkrył, ani porządnie nie zarobił, ani nie zdobył żadnych nowych umiejętności, które dawałyby mu większe szanse na rynku pracy. Co więcej, stopień doktora może przynosić odwrotny do zamierzonego skutek, gdyż ego nie każdego pracodawcy zniesie w swojej bliskości osobę nie dość, że bez doświadczenia, to jeszcze wyraźnie lepiej wykształconą. W związku z tym młody doktor, chcąc nie chcąc, ponownie odkrywa w sobie powołanie do nauki, niczym w małżeństwie z rozsądku, po raz wtóry liczy na to, że miłość przyjdzie z czasem, a w zasadzie razem ze stabilnym państwowym etatem.

### Doktor to za mało

Assistant Professor brzmi dumnie. Zanim zorientowałem się, że to sposób przedstawiania się adiunktów naukowo-dydaktycznych w towarzystwie międzynarodowym, byłem pełen podziwu dla ich doświadczenia i funkcji pomimo młodego wieku. Okazało się, że określenia doctor albo researcher, które wpisywałem w rubrykach stanowisko, mogą być najwyraźniej bardzo mylące dla naszych zagranicznych kolegów. Zdecydowanie też nie odzwierciedlają wyjątkowej funkcji i doświadczenia adiunkta naukowo-dydaktycznego, który przecież prowadzi badania i uczy, czyli dokładnie robi to, co na Zachodzie profesor.

Może w swej ironicznej wypowiedzi jestem zbyt czepialski i konserwatywny, lecz mimo wszystko razi mnie nadużywanie tytułu profesora, szczególnie jeśli jest nieskromnie stosowane wobec własnej osoby, nawet w nomenklaturze zagranicznej.

Choć stanowisko adiunkta, jak widać, jest już czymś, to zdecydowanie nie może przecież być końcem kariery, szczególnie dla osób, które nie mają belferskiego zacięcia (i niekoniecznie chciałyby zostać starszym wykładowcą). Jeśli nawet delikwent nie ma takiej wewnętrznej potrzeby i niekoniecznie chce się piąć po szczeblach naukowej kariery, to zadbał już o to ustawodawca, wyraźnie narzucając limity czasowe kolejnych awansów naukowych. W związku z tym, jeśli ktoś nie chce zostać zrzucony na poboczny tor, musi prędzej czy później rozważyć ubieganie się o stopień doktora habilitowanego. Co ciekawe, w skrajnym przypadku, jeśli zrobił doktorat w wieku lat 27 i od razu został adiunktem, powinien uzyskać awans przed 36. rokiem życia, czyli w wieku, gdy do niedawna stopnie doktora habilitowanego uzyskiwały tylko nieliczne, wybitne jednostki (szczególnie w dziedzinie nauk technicznych).

### Habilituj się, kto może!

W tym momencie mój wywód dobiega do miejsca, w którym się zaczął i zdecydowanie wymagane jest postawienie kilku kluczowych pytań. Niestety długo pozostaną one bez jednoznacznej odpowiedzi, która być może nie jest możliwa, co nie zmienia faktu, że powinny być zadane.

Czy powinno się proceduralnie przymuszać ludzi do kolejnych awansów naukowych? Czy to awans powinien decydować o pozycji człowieka w świecie nauki, czy powinno być dokładnie odwrotnie? Czy osoba, która przeszła przez maturę, potem przez studia pierwszego, drugiego i trzeciego stopnia oraz obroniła przeciętny doktorat, powinna otrzymywać sygnały i zachęty od otoczenia, że dalsza droga jest naturalna? I czy dalsza droga, to faktycznie naturalna dla każdego droga awansu?

Chcąc spróbować odpowiedzi, choćby bardzo pobieżnej, na część zadanych pytań, należałoby ustalić punkt początkowy dyskusji i odwołać się do podstawowej definicji stopnia naukowego doktora habilitowanego, nawet nie tej książkowej, lecz wynikającej z oczekiwań stawianych wobec osoby z tym stopniem. Po pierwsze, od doktora habilitowanego oczekuje się samodzielności zarówno w kreowaniu tematów naukowych, jak też pozyskiwaniu finansowania na ich realizację. Po drugie, może najważniejsze, doktor habilitowany powinien być w stanie zbudować zespół badawczy i dysponować na tyle dużą wiedzą oraz autorytetem naukowym i moralnym, aby pełnić w tym zespole rolę mistrza, a nie tylko menedżera nauki, sprawnie zarządzającego przepływami finansowymi i skutecznie zbierającego punkty do dorobku swojego, swoich podwładnych i jednostki organizacyjnej. Pozostaje też trzecie, po zmianach w procedurze, nieco zapomniane oczekiwanie. Zdolność do prowadzenia wykładów. W przeszłości habilitacja oznaczała dopuszczenie do prowadzenia samodzielnych wykładów. Umiejętność ta skutecznie sprawdzana była na tzw. wykładzie habilitacyjnym. Obecnie obowiązująca procedura nie wymaga nawet rozmowy z habilitantem, czyli de facto mógłby on być w skrajnym przypadku zupełnie niezdolny do komunikacji z ludźmi i jeśli jego dorobek na papierze jest wystarczający, awans otrzyma z automatu.

Czy zatem powinniśmy zachęcać i popierać starania osób, które bez wizji, doświadczenia i personalnych warunkowań, odhaczając kolejne punkty na liście warunków koniecznych do spełnienia w tym wyścigu szczurów dążą do przedwczesnego (jak na ich etap rozwoju naukowego i mentalnego) awansu?

### System pozwala, wszystko w porządku!

Oczywiście, że pozwala. Co więcej, nigdy nie ośmieliłbym się zaryzykować tezy, że osoby, które tworzyły system w bieżącej formie miały na celu obniżenie poziomu polskiej nauki. Jestem wręcz przekonany, że działały w najlepszej wierze i że sama koncepcja jest nawet logiczna, choć w stosunku do poprzedniego systemu rewolucyjna. I w tym właśnie może tkwić szkopuł, bo nauka najwyraźniej nie lubi rewolucji.

W moim rozumieniu, jedną z przesłanek prowadzących do zmiany systemu awansów na stopień doktora i doktora habilitowanego (m.in. brak konieczności pisania rozpraw/książek) miało być dostosowanie systemu do realiów dzisiejszej nauki. Po co ma powstawać nikomu niepotrzebna rozprawa doktorska czy książka habilitacyjna, jeśli wyniki badań opublikowane są w doskonałych czasopismach o zasięgu międzynarodowym? System miał także umożliwiać habilitowanie się wybitnym lub też pozostającym w patologicznych układach w ramach swoich jednostek organizacyjnych doktorom, gdzie bez namaszczenia, nawet pomimo dorobku, nie dało się uzyskać





awansu naukowego. System był stworzony dla młodych, ambitnych, nowoczesnie myślących, zdolnych i niestety ETYCZNYCH z założenia. Nikt z twórców nowego systemu prawdopodobnie nie podejrzewał, że cykl publikacji, zamiast rozprawy doktorskiej, może zostać zinterpretowany jako mizerne dwie, trzy publikacje w wątpliwej jakości czasopismach. Monotematyczny cykl publikacji zamiast książki habilitacyjnej zmieni się natomiast (przykład autentyczny) w cykl „luźno tematycznie powiązanych z dyscypliną naukową artykułów” z drugorzędym współautorstwem habilitanta wraz z rozdziałem w monografii wydanej w Chorwacji po angielsku z polskimi podpisami rysunków i opisami tabel, którego nie dość, że nikt nie zrecenzował, to jeszcze na dodatek nie przeczytał (prawdopodobnie włącznie z autorem, edytorem i wydawcą). Nikt też nie podejrzewał, że kandydatem na doktora habilitowanego będzie ktoś, kto nie dość, że nie umie skleić na piśmie poprawnego zdania w języku ojczystym, to jeszcze nie musi nawet poprawnie po polsku mówić (i absolutnie nie myślę tu o obcokrajowcach).

Rewolucja najwyraźniej okazała się krwawa, ale nie dla ludzi, a dla całego systemu. Pytanie tylko, czy to błąd

w konstrukcji systemu, czy tylko niewłaściwe elementy pojawiły się w systemie, których nikt z samej zasady w nim nie przewidywał.

Zdaję sobie sprawę, iż problemy, które poddałem rozważaniu, na razie w większości dyscyplin są na granicy science fiction i patologie absolutnie nie dominują. Prawdopodobnie w szczególnie małym stopniu dotyczy to instytutów badawczych, gdzie nie da się trafić przez przypadek ani pozostać z rozpędu. O wysoki poziom kadr dba też CK, starając się marginalizować i piętnować zachowania nieetyczne. Jednak wraz z upływem czasu ludzie, którzy z wielką trudnością dobrnęli do stopnia doktora habilitowanego, powoli zaczną zastępować pokolenie, które wie co to rzetelność, niezależność i poczucie odpowiedzialności za młodszych adeptów nauki. Obawiam się, że reakcja łańcuchowa może wtedy tak dalece zdegenerować system, iż będzie on już nie do odbudowania bez kolejnej, tym razem bardzo krwawej, rewolucji. Obym się mylił.

MKP

Przedruk z *Forum Akademickiego* nr 6/2017  
za zgodą redakcji.

## Warsztaty z USG nerwów obwodowych w Klinicznym Oddziale Ratunkowym

Gdańskie Warsztaty Ultrasonografii Nerwów Obwodowych zorganizowane przez dr. Mariusza Siemińskiego odbyły się 30 września 2017 r. w Klinicznym Oddziale Ratunkowym. Warsztaty poprowadził dr Josef Böhm z Berlina, autorytet w zakresie diagnostyki ultrasonograficznej nerwów obwodowych, współautor publikacji naukowych z wieloletnim doświadczeniem klinicznym.

Ultrasonografia nerwów obwodowych jest szybko rozwijającą się metodą, bardzo przydatną w procesie diagnostycznym schorzeń obwodowego układu nerwowego. W ujęciu klasycznym neurolog zmierzający do postawienia rozpoznania uszkodzenia nerwów obwodowych mógł posilkować się metodami neurofizjologicznymi. Badanie przewodnictwa nerwów obwodowych doskonale pokazuje zaburzenia funkcji nerwu obwodowego, natomiast ma ograniczone zastosowanie w zakresie konkretnego lokalizowania miejsca uszkodzenia, a także nie uwidacznia struktury nerwu. Z tego względu ultrasonografia nerwów obwodowych staje się metodą komplementarną wobec badań neurofizjologicznych.

W warsztatach uczestniczyło 14 osób. Byli wśród nich neurologi z Gdańska, Krakowa, Warszawy i Łodzi oraz specjaliści medycyny ratunkowej. W trakcie zajęć prowadzono rzeczywiste demonstracje badania ultrasonograficznego nerwów obwodowych oraz prezentowano badania archiwalne. W trakcie warsztatów omówiono zastosowanie USG w diagnostyce urazów nerwów obwodowych, zespołów cieśni oraz polineuropatii o różnej etiologii.



Klinika Neurologii Dorosłych, od lewej: dr Mariusz Siemiński (Gdańsk), dr Josef Böhm (Berlin), dr Tomasz Kossowski (Gdańsk), dr Jakub Antczak (Kraków)

Ultrasonografia nerwów obwodowych jest skuteczną i relatywnie tanią metodą diagnostyczną, istotnie przyspieszającą postawienie diagnozy. W Polsce umiejętność wykonywania takich badań dopiero się rozwija. Zarówno prowadzący warsztaty, jak i uczestnicy wyrazili chęć powtarzania tego rodzaju szkoleń. ■